

To zdarzenia przywołują pamięć

ROZMOWA | Pewna szlachetna część widowni, dla której warto robić ambitną sztukę, jest w każdym mieście - uważa Henryk Talar aktor teatralny i filmowy.

W: Od wielu lat jest pan jednoznacznie kojarzony z Warszawą, aż trudno uwierzyć, że po drodze były takie przystanki jak Bielsko - Biała, Kalisz, Częstochowa. Czy te miasta wnosiły coś w pana osobowość?

HENRYK TALAR: Z pewnością tak. Co nie znaczy, że w jakimś decydującym stopniu. Jeśli człowiek się zmienia, to musi mieć świadomość, że gdzieś w środku wciąż pozostaje sobą. To mamy w genach. Fizyczność, sposób myślenia pozostaje taki sam niezależnie od tego, czy żyjemy w Kaliszu, Bielsku - Białej, Częstochowie, Warszawie, czy Paryżu. Do dziś pamiętam słowa mojej nauczycielki, która mówiła: zmieniaj życie, nie zmieniając siebie.

Ale są i tacy, którzy powinni wiele w sobie zmienić...

Ciągle nas ktoś poucza, że powinniśmy w sobie coś poprawić, lepiej ułożyć stosunki z bliźnimi itp. Nie kwestionuję, sytuacji, w której chcemy być lepsi, dążymy do samodoskonalenia. Chodzi tylko o to, by w tych przemianach pozostać sobą, być wiernym sobie, nie

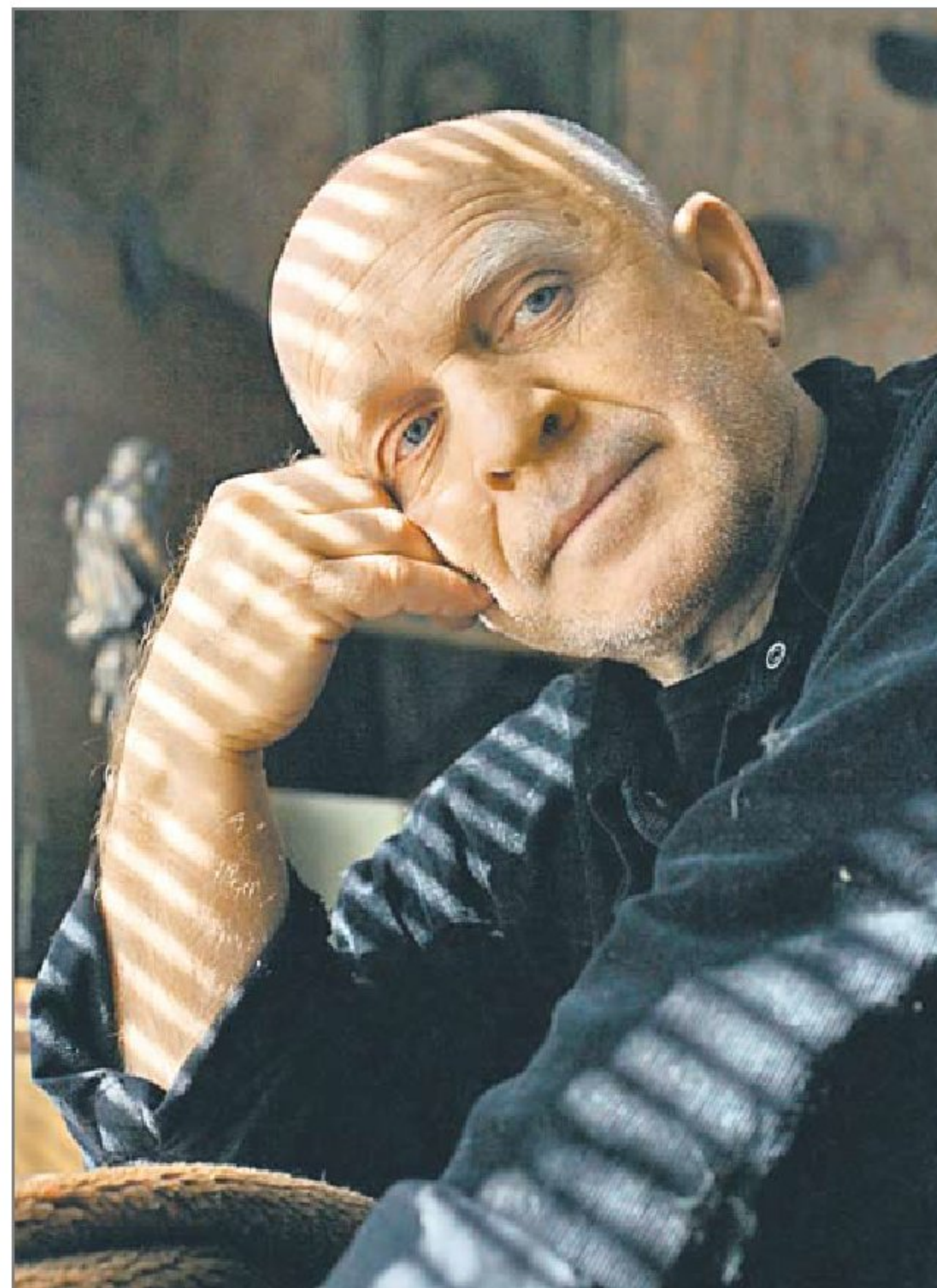
zatracić własnej osobowości. Bo w tych przemianach jest cienka granica, którą można przekroczyć próbując na siłę upodabniać się do kogoś. A w rezultacie stając się bezwiednie czyjaś bezwartościową kopią.

Czyli warto siebie polubić?

Oczywiście. Umieć znaleźć w sobie wzorzec dla siebie, czyli zidentyfikować pragnienia, marzenia, ale też ustalić własne słabości. Mieć odwagę zabrać głos w konkretnej sprawie, a nie tylko milcząco słuchać.

Brzmi to prawie jak przesłanie Pana Cogito...

Zaczęliśmy może z wysokiego Ce, ale zapytał mnie pan o pewien system wartości, więc tak to zabrzmiało. Z tymi przemyśleniami wędrowałem sobie jako aktor z Kalisza, a potem jako warszawski aktor obejmujący Teatr w Bielsku, czy Częstochowie. I szybko się przekonałem, że pewna szlachetna część widowni ci, dla których warto robić wielką, ambitną sztukę, jest w każdym ośrodku. A powiem nawet więcej - w mniejszych miastach ta praca będzie nawet bardziej doceniona. I ta świadomość



artystyczne zdarzają się częściej poza tzw. centralą.

Podczas słynnej dyrekcji Izabelli Cywińskiej w Kaliszu szybko wyrósł pan na czołowego aktora. Do zespołu warszawskiego teatru Ateneum przychodził pan w glorii sławy. Łatwe było to przejście?

Szybko okazało się, że tamta pozycja niewiele się liczyła. W Warszawie właściwie musiałem zaczynać wszystko od początku. Udowodnić innym, ale przede wszystkim sobie, że jestem coś wart.

I mieć na uwadze, że niektórzy nowi koledzy traktować będą pana jak naturalne zagrożenie.

Brałem to pod uwagę, ale zaskoczyło mnie to, że z rezerwą podchodzili do mnie głównie halabardnicy, aktorzy drugiego planu. Pierwszy podał mi wyciągniętą rękę Romek Wilhelmi, który był tam niewątpliwą gwiazdą. I co ciekawe, przyjaźń z nim przetrwała lata. Kiedy graliśmy ze sobą, mogłem mówić o pełnym partnerstwie.

Dla teatru zawsze miał pan wiele serca i pokory.

Wyznam tęzę, że teatr wymaga pełnego poświęcenia. Jest zbyt poważną zabawką, by zajmowali się nim dyletanci. Mam tu na myśli zarówno tych, którzy w nim występują, jak i tych, którzy o nim piszą.

Kiedy przeniosłem się do Warszawy i zaangażowałem

do Ateneum, a potem do Studia wyznawałem tęzę, że etat w teatrze jest najważniejszy, a reszta się zobaczy. Od kilku już lat nie ma takiej pewności. I jestem w tym konsekwentny tak dalece, że po kilku sezonach w Teatrze Narodowym sam dobrowolnie odszedłem z etatu. Dzięki temu w ramach programu Teatr Polska mogłem jako Prospero z szekspirowską „Burzą” gościć w wielu miastach Polski, spotykać się z widzami złańskimi teatru. Chwilami było to męczące, ale dawało poczucie misji, z jakiej ten nasz zawód bywa stale obdzierany.

Nie jest pan więc chyba specjalnie przywiązany do Warszawy.

Wprost przeciwnie. Warszawa przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Poczulem jej gościnność, mimo że na początku mieszkaliśmy z żoną i córką w typowych domach z betonu na Ursynowie. To miasto ma niezwykłą energię. Ja lubię chodzić po nim śladami konkretnych ludzi, artystów, pisarzy. Tu nie miejsca przywołują pamięć, lecz zdarzenia. Tragiczna, ale piękna i wzruszająca historia. Nie waham się użyć określenia miejsca bohaterskie. O tym wszystkim zwłaszcza w sierpniu jest okazja do chwili refleksji i zadumy. ©P

—rozmawiał

Jan Bończa-Szabłowski

mobilizuje jeszcze bardziej. Jeżdżąc po teatrach, zauważyłem że w mniejszym ośrodku poczucie klęski jest dla aktorów bardziej dotkliwe.

Dlaczego?

W Warszawie jak się coś nie uda, można to zrekompensować sobie i widzom w filmie i serialu.

Na tzw. prowincji nie ma takich możliwości, po nieudanej roli aktor zostaje sam ze sobą. Bo na prowincji bardzo doskwiera artystyczna samotność. Zaznaczam, że słowa używam prowincja wyłącznie w znaczeniu geograficznym, a nie artystycznym. Wielokrotnie okazało się, że wartościowe zjawiska